



# Lepiej mniej, lecz lepiej

Starsi Czytelnicy pamiętają zapewne to hasło, które – dla mnie przynajmniej – wiąże się nierozłącznie z komuną. Dla młodych wyjaśnienie. W przodującym ustroju, gdy panowała gospodarka planowa, a dla przedsiębiorstw państwowych rynek nie miał praktycznie znaczenia, decydującym elementem oceny przedsiębiorstwa było wykonanie (lub ewentualnie przekroczenie) „normy”. A norma polegała na wyznaczeniu ILOŚCI wyprodukowanych elementów (samochodów, wagonów, statków, odkurzaczy, zboża, bydła...). Nikt nie przejmował się jakością tej produkcji, bo jakość trudno zweryfikować, jeżeli nie działa rynek. W rezultacie powstało koszarne marnotrawstwo: produkowano wiele rzeczy, których nikt nie chciał, bo po prostu nie nadawały się do użycia. Wszyscy starali się przekraczać normy (od tego zależała premia) i w rezultacie straty narastały. Wtedy właśnie (bodaj w „Polityce”) pojawiło się to tytułowe hasło. Dużo farby drukarskiej i taśmy maszynowej zużyto, aby jakoś wyperswadować „decydentom”, że tak dalej nie można. Decydenci reagowali, wydawali jakieś zarządzenia, które oczywiście nie działały, bo nie mogły działać w systemie postawionym na głowie.

Z dzisiejszego punktu widzenia należałoby, być może, błogosławić tę sytuację, bo był to bodaj najważniejszy powód upadku realnego socjalizmu.

Obawiam się, że w naszym szkolnictwie wyższym (może zresztą nie tylko wyższym) zbliżyliśmy się dość blisko do stanu, który właśnie opisałem. Liczy się tylko liczba: liczba studentów. Produkcja absolwentów rośnie, poziom spada. Marnujemy masę – czasem naprawdę znakomitego – materiału.

Sądzę, że nikt w Polsce nie chce, aby nasze szkoły wyższe skończyły tak, jak realny socjalizm. Cieszy więc, że świadomość upadku jest powszechna, a narzekania na uniwersyteckich korytarzach zaczynają osiągać stan krytyczny. Problem polega jednak na tym, że nie bardzo wiadomo, jak z tej sytuacji wybrnąć. Z jednej strony, ogarnięcie

edukacją jak największej liczby młodych ludzi leży niewątpliwie w interesie naszego kraju i jego dalszego rozwoju. Z drugiej strony, niska jakość tej edukacji i jej nieprzystosowanie do realnych potrzeb prowadzi prostą drogą donikąd.

Teoretycznie wyjście jest proste: należy wzmocnić selekcję i doprowadzić do tego, aby studia kończyli tylko ludzie, którzy naprawdę na to zasługują. Dlaczego to nie działa? Z tej samej przyczyny, dla której apele o podniesienie jakości nie działały w przodującym ustroju. Wadliwy system finansowania, oparty wyłącznie na kryteriach ilościowych i formalnych, nie pozwala na zrealizowanie najbardziej oczywistych postulatów. Ten system trzeba zmienić.

Ale czym go zastąpić? Najlepiej oczywiście rynkiem, tyle że rynek w tej branży rozwija się – z natury rzeczy – powoli, bo skutki słabego wykształcenia nie objawiają się natychmiast. Widać pierwsze jaskółki, ale nie bardzo chciałbym czekać następne 20 lat. Zwłaszcza że tymczasem nasze najlepsze uczelnie mogą nie wytrzymać presji i zejść do poziomu średniaków.

Na razie jednak nie pojawia się na horyzoncie żadna rozsądna alternatywa. Nie chodzi mi o jakiś idealny system, o *panaceum*, bo pewnie takiego nie ma, ale o to, aby przynajmniej zahamować (lub choćby spowolnić) upadek. Niestety, jak dotąd, nikt nie pofatygował się, aby coś takiego zaproponować; co gorsza, nie widzę nawet chęci do publicznej dyskusji na ten temat.

Dlatego najwyższy czas, aby najlepsze polskie szkoły wyższe wzięły sprawę w swoje ręce, zaproponowały i przeforsowały takie metody finansowania, w których jakość kształcenia będzie istotnym parametrem. Taka akcja niewątpliwie ociera się o zamach stanu i trzeba do niej dużo odwagi. Wiem, że to trudne, wiem, że spowoduje płacz i zgrzytanie zębów, ale po prostu nie ma innego wyjścia. Nikt inny tego nie zrobi. A zrobić coś trzeba.

Koniecznie.

ANDRZEJ BIAŁAS

Marzec 2012

